NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 12·50. Półrocznie kor. 25·—. Rocznie kor. 50·—. Do Niemiec: Kwartalnie 13 kor. 25 hal. Półrocznie 26 kor. 50 hal. Rocznie 53 kor. — hal. z przesyłką pocztową. W Ameryce: Kwartalnie 13 kor. 80 hal. Półrocznie 27 kor. 60 hal. Rocznie 55 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 40 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 56 halerzy, za wiersz jednoszpaltowy nonparellowy 80 hal

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

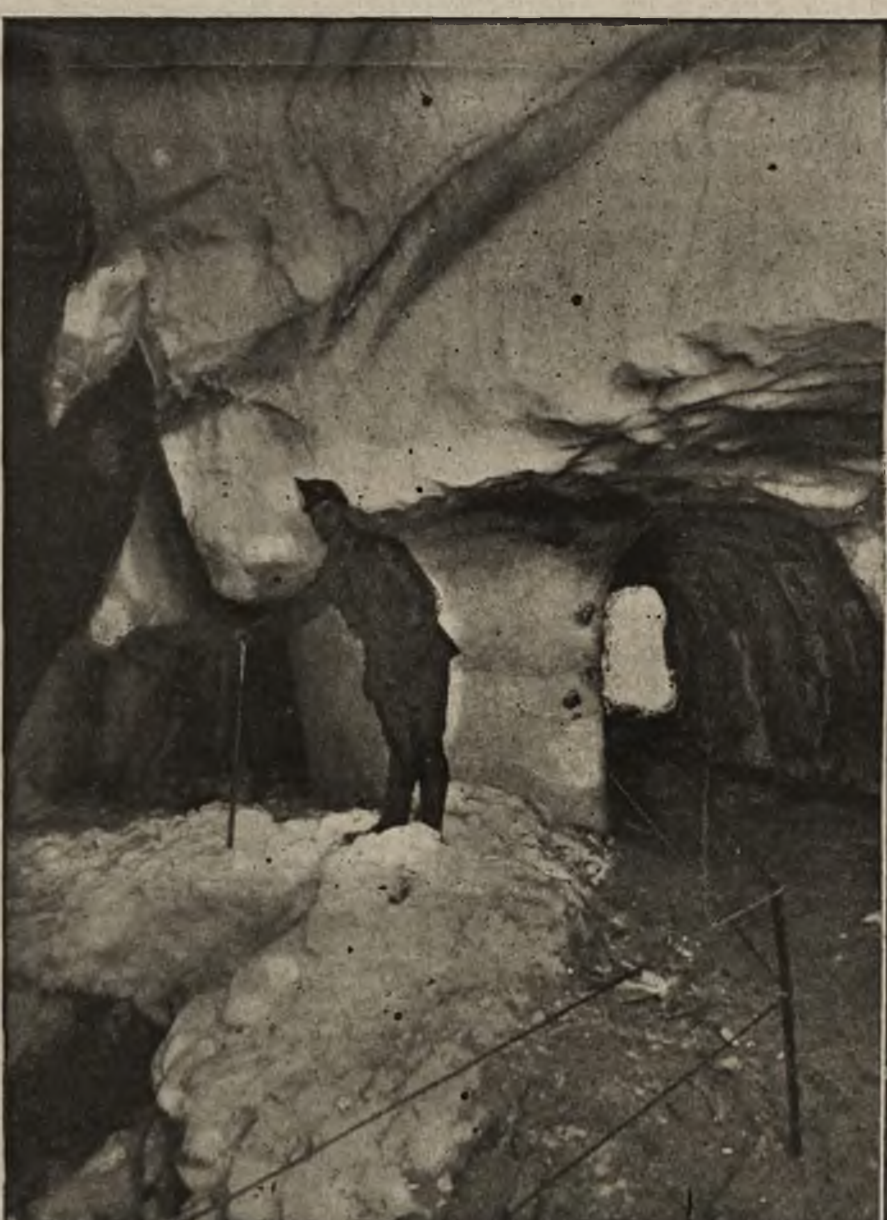
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 1 koronę.

Rok XV. Kraków, 14 września 1918. Nr. 36.

Walki w krainie lodów.



Tunel przebity w lodowcu alpejskim na froncie włoskim.



Mieszkanie w lodowcu. (Woj. kwat. pras).

Treść numeru: Polityczne odwiedziny. — Na pamiątkę chwili bieżącej. — Agitacya za wojną. — Wielki odwrót Niemców. — Wojska ukraińskie. — Pogotowie wojenne Szwajcaryi. — Kuźnie wojny itd.

Walki w krainie lodów.

Front włoski znowu zaczyna się ruszać. Ostatnie biuletyny donoszą o wzmagającej się akcyi artyleryi nieprzyjacielskiej i ponawianych raz po raz uderzeniach wywiadowczych Włochów. Prawdopodobnie za przykładem Francyi i na tym froncie w najbliższym czasie zawrze na nowo walka, gdyż koalicya spróbuje swoje powodzenia rozszerzyć i na inne fronty.

W jakich warunkach przychodzi walczyć na tym froncie przedstawiają dzisiaj zamieszczone illustracye. Jak wiadomo część linii frontowej, zwłaszcza na granicy tyrolskiej przebiega po przez wysokie



Na pamiątkę chwili dziejowej: Jedna z ostatnich odznak wojsk polskich.



Pogotowie wojenne Szwajcaryi: Patrol na niedostępnym szczycie alpejskim. (Lip. biur. pras.)

góry alpejskie. W niedostępnych często dla ludzkiej stopy wyżynach toczy się obecnie walka na śmierć i życie. Wieczyste śniegi, po których stąpała czasem stopa śmiałego turysty, są dzisiaj ochroną i siedzibą oddziałów walczących, a tysiącletnie lodowce kryją w swych wnętrzach ogromne kazamaty, w których mieszkają dzielni obrońcy. Nie tylko wnętrza gór zamieniono na ludzkie siedziby, ale i lodowce wydrążono i w wieczystem tem zimnie stworzono głębokie kawerny, które dają ochronę przed nieprzyjacielskimi granatami.

Na pamiątkę chwili dziejowej.

Chwile, jakie obecnie przeżywamy, historya zapisze trwale na swych kartach, a wśród licznych pamiątek, jakie pozostaną po tych krwawych czasach, ważne miejsce zajmą różne odznaki oddziałów bojowych, biorących czynny udział w tej największej w dziejach wojnie.

I nasze Legiony posiadają pokaźną kolekcyę tych odznak, które przypominają i utrwalają różne momenty bohaterskich walk naszego żołnierza. Jest to jakby historya Legionów, zakuta w małe, miniaturowe znaczki.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy nieznaną dotychczas, jedną z ostatnich odznak wojsk polskich.

Agitacya za wojną.

Od chwili, kiedy Ameryka postanowiła wziąć udział w wojnie światowej, rozpoczęła przygotowania do niej w sposób przekraczający wszelkie miary tego co na tem polu inne państwa wojujące zrobiły. Wiadomo, iż w Ameryce jako w kraju wielkich swobód kwestye polityczne często rozwiązywane są przy pomocy szeroko rozwiniętego aparatu agitacyjnego. Amerykańska reklama, która stała się prawie przysłowiową stosowana jest zarówno do spraw ekonomicznych jak i do najważniej-



Pogotowie wojenne Szwajcaryi: Ciężka artylerya w pochodzie na górskie stanowisko. (Lip biur. pras.)



Agitacya za wojną: Burmistrz Nowego Jorku wita przybyłe agitacyjne wojska angielskie. (Woj. kwat. pras.)



Polityczne odwiedziny: Król saski w towarzystwie cesarza Karola w Dreźnie. (Woj. kwat. pras.).

szych zagadnień politycznych. Tak samo i wojna, dla której w krajach amerykańskich zrobiono szumną reklamę, bez tego aparatu się nie obeszła. W pierwszym rzędzie w propagandzie wojennej uczestniczyła Anglia, której najbardziej zależało na wciągnięciu Ameryki w szeregi koalicyi. Aby podnieść zapał wojenny wysłano do Ameryki wzorowe oddziały wojsk angielskich, które stanowiąc niejako kadry instrukcyjne armii amerykańskiej były zarazem środkiem agitacyjnym. Między innymi wielką



Polityczne odwiedziny: Hr Burian i sekretarz stanu, adm. Hintze, na dworcu w głównej kwaterze niemieckiej. (Woj. kwat. pras.).

sensacyę w Nowym Jorku wywołało pojawienie się oddziałów szkockich w barwnych ich strojach.

W ostatnich czasach zastosowano nowy a równie oryginalny sposób budzenia zapału wojennego. Jest nim stworzona przed trzema miesiącami organizacya „mowców czterominutowych", do której wciągnięto ludzi biegłych w wymowie.

Zadaniem tych mężów jest, ażeby w pewnych dniach (wieczorach) z góry oznaczonych pojawiali się wśród zbiorowisk: w cyrku, kinach, teatrach, a także na dworcach, gdzie podczas pauzy, lub tuż przed odejściem pociągu wygłaszać mają mowy, które trwać mogą dokładnie tylko cztery minuty.

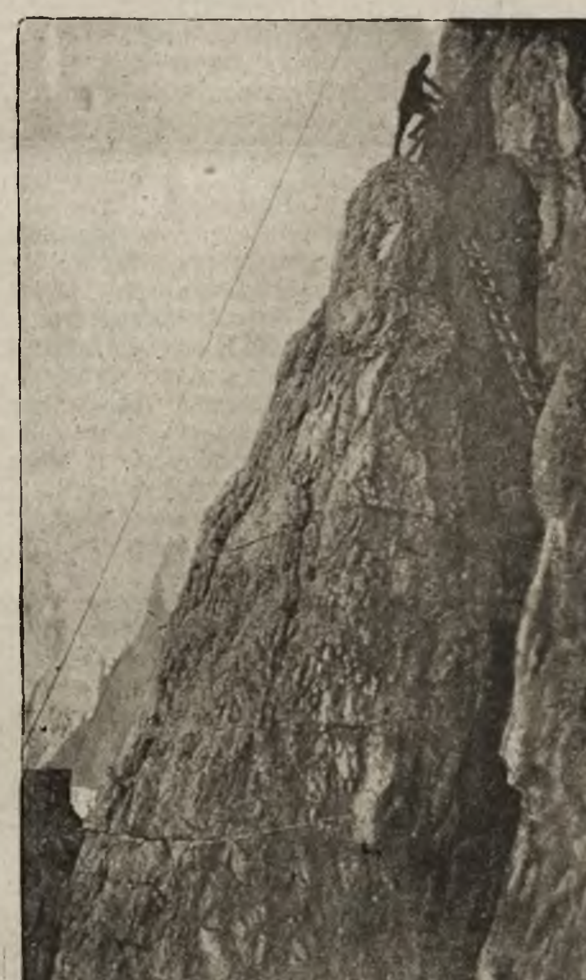
Mężowie ci czterominutowi przemawiają tego samego wieczora w różnych miejscach na ten sam temat.

Pogotowie wojenne Szwajcaryi.

W obecnej wojnie Szwajcarya znajduje się w najtrudniejszem ze wszystkich państw neutralnych położeniu. Otoczona ze wszystkich stron wojną, musi sama dbać o to, aby pożoga wojenna nie przeniosła się i na jej terytoryum Mimo iż ściśle przestrzega neutralności musiała dla ochrony swych granic przeprowadzić już dwukrotnie mobilizacyę i zbrojnie bronić swej nienaruszalności granic. Ilekroć bowiem która ze stron wojujących prowadzi jakieś większe operacye w pobliżu granicy szwajcarskiej, tyle razy pojawiają się pogłoski o planowanym przez tę lub tamtą stronę przemarszu przez szwajcarskie terytoryum. Ze względów strategicznych zarówno Francyi, jak i Włochom lub Niemcom możliwość takiego przemarszu wykonana niespodziewanie byłaby w stanie zapewnić wielkie korzyści. Czyniono też kilkakrotnie usiłowania, aby Szwajcaryę wciągnąć w wojnę i uzyskać jej poparcie. Dotychczas jednak te próby rozbiły się o stanowczy opór Związkowej rady szwajcarskiej.

Mimo to właśnie dla ochrony swej neutralności Szwajcarya stoi z bronią u nogi. Organizacya wojskowa w Szwajcaryi polega na zupełnie innych zasadach niż w państwach wojujących. Wojska stałego w znaczeniu armii regularnej Szwajcarya nie posiada. Istnieje tam tylko milicya. Organizacya jej jest następująca: Obowiązek służby wojskowej obejmuje roczniki od 20 do 44 roku życia. Czas istotnej służby wynosi 45 dni, w których rekrut otrzymuje zasadnicze wyszkolenie wojskowe. Dla kawaleryi czas ten wynosi 80 dni, dla artyleryi 55 dni. Przez 10 lat co dwa lata odbywają się kilkakrotnie ćwiczenia, zaś przez dalsze okresy przynależności wojskowej co cztery lata. Cała armia dzieli się na 8 dywizyi po dwie brygady.

Pospolite ruszenie odbywa zebrania kontrolne co roku w jednym dniu. Wtedy udziela się jego członkom nauki wojskowej. Cała siła zbrojna dzieli się na pierwsze powołanie obejmujące lata od 20 do 32, drugie powołanie czyli landwerę obejmujące



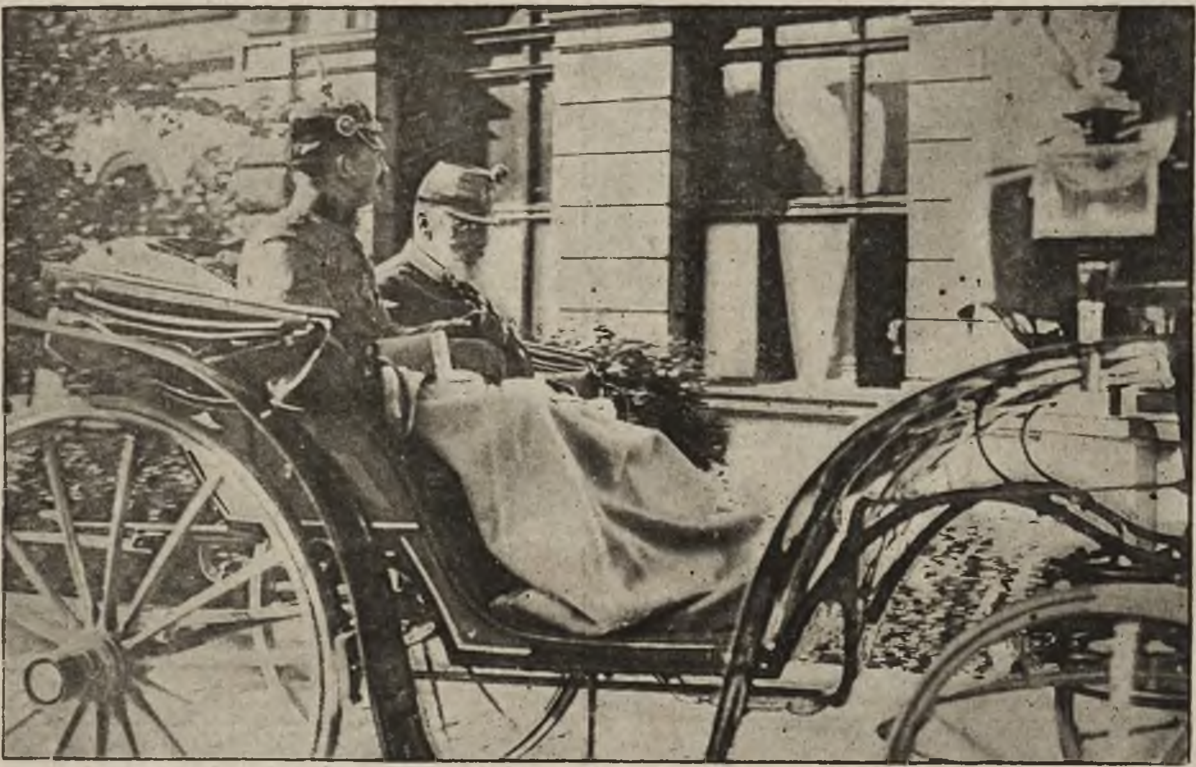
Walki w krainie lodów: Niebezpieczny punkt obserwacyjny. (Woj. kw. pras.)

lata od 33 do 44 i pospolite ruszenie. Wedle ostatniego spisu pierwsze powołanie liczyło 104 bataliony piechoty. 36 szwadronów kawaleryi, 50 bateryi artyleryi i kilkanaście kompanii sił technicznych. Mniej więcej taką samą siłę wykazuje landwera i pospolite ruszenie.

Wobec specyalnie trudnego terenu, jakim są górzyste okolice Szwajcaryi, obrona kraju jest bardzo ułatwiona. To też żadne z państw wojujących nie pokusiło się dotychczas o to, aby kraj ten wbrew jego woli wciągnąć w wir obecnych walk. Szwajcarzy bardzo usilnie pilnują swych granic i mimo iż sam kraj zamieszkały jest przez ludność o bardzo mieszanym charakterze, a więc sympaty-



Pogotowie wojenne Szwajcaryi: Piechota szwajcarska przenosi materyał do budowy okopów. (Lip. biur. pras.).



Polityczne odwiedziny: Cesarz Karol w towarzystwie króla bawarskiego w Monachium (Woj kwat pras).

zującą z jednej strony z mocarstwami centralnemi a z drugiej z koalicyą, w kwestyi wojny obie strony zgadzają się zupełnie i do Szwajcaryi wnosić jej nie chcą.

Podajemy szereg ilustracyi, przedstawiających trudne warunki techniczne, w jakich pracować musi zmobilizowana armia szwajcarska nad zabezpieczeniem neutralnych granic swego kraju.

Polityczne odwiedziny.

Konieczność porozumienia się mocarstw centralnych w sprawie polityki zagranicznej i wzajemnego stosunku sojuszników spowodowała szereg wizyt o wybitnie politycznym charakterze. Najważniejszą była wizyta cesarza Karola w głównej kwaterze niemieckiej. Udał on się tam w otoczeniu austryackich mężów stanu a przedmiotem narad była sprawa utrwalenia sojuszu między Austryą a Niemcami oraz ostateczne uregulowanie spraw wschodnich. Wobec coraz bardziej wzrastającego zamieszania na wschodzie Europy. mocarstwa centralne muszą ostatecznie raz stanowczo postanowić w jaki sposób mają się zachować wobec rosnącej i przybierającej na sile agitacyi kontrrewolucyjnej w Rosyi, a także muszą ustalić którym nowo powstającym państwom na obszarach dawnej Rosyi mają udzielić poparcia i uznania. Główny temat narad stanowiła jak już donieśliśmy sprawa polska.

W obradach brali udział minister spraw zagranicznych hr. Burian oraz przedstawiciele polityki zagranicznej państwa niemieckiego.

Narady te, które odbyły się w dniach 14 i 15 sierpnia stanowiły wstęp do całego szeregu wizyt politycznych jakie obecnie się odbywają. Jako dalszy ciąg tych rokowań uważać należy wizytę ces. Karola na dworze saskim i bawarskim. Para monarsza austryacka przybyła do Drezna na jeden dzień, przyjmowana bardzo serdecznie przez króla saskiego Fryderyka Augusta. Na zamku Moritzburg odbył się uroczysty obiad galowy, w czasie którego obaj monarchowie wygłosili polityczne toasty.

W drodze powrotnej z Drezna zatrzymała się para cesarska w Monachium, gdzie złożyła wizytę bawarskiemu królowi Ludwikowi. Jak stwierdzają urzędowe komentarze, obie te wizyty miały na celu umocnienie wyników narad prowadzonych w głównej kwaterze niemieckiej.

W łączności z temi odwiedzinami jest także podróż króla bułgarskiego i ks. Cyryla do Nauheim i do Koburga. W Nauheim spotkał się bułgarski monarcha z cesarzem Wilhelmem, obaj odbyli dłuższą naradę, na której jak pisma donoszą, omawiano całokształt położenia wojennego i politycznego. Wymiana zdań ożywiona była silnem postanowieniem wytrwania w czwórprzymierzu i potwierdziła zgodność zapatrywań.



Pogotowie wojenne Szwajcaryi: Droga serpentynowa do pozycyi w regionie wiecznych śniegów. (Lip. biur. pras.).



Polityczne odwiedziny: Cesarz Wilhelm w rozmowie z b. premierem austryackim, dr. Seidlerem, na dworcu głównej kwatery niemieckiej. (Woj. kwat. pras.).

Wojska ukraińskie.

(Do illustracyi na str. 7 i 11).

„Republika ukraińska" jest wyjątkowo szczęśliwem państwem. Dokonywa z takim rozmachem ciągłych podbojów i aneksyi, nie posiadając właściwie armii. W czasie walk z bolszewikami, oddziały, które miały bronić niepodległości Ukrainy, bądź rozbiegły się, bądź przeszły do nieprzyjaciela. Z kłopotu, jak wiadomo, wybawiły Ukraińców wojska niemieckie, które dopiero zainstalowały w Kijowie rząd ukraiński, z p. Hołubowiczem na czele. Gdy bolszewicy już nie zagrażali, zaczęto na Ukrainie tworzyć znowu wojsko. Powstały oddziały kozaków, strzelców siczowych itp. Przyszedł jednak znany „zamach stanu" jen. Skoropadskiego i wywołał w wojsku ukraińskiem „rewolucyę". Siczowcy odmówili posłuszeństwa, grozili buntem, w końcu jednak ulegli się nowemu władcy Ukrainy, złożyli broń i rozbiegli się w różne strony. Armia ukraińska, stworzona za rządów p. Hołubowicza, poza garstką galicyjskich strzelców siczowych, przestała istnieć.

„Hetman" Ukrainy nie mógł jednak pozostać bez wojska. Postanowiono więc stworzyć nową armię, w sposób bardzo prosty, bo z jeńców. Pierwszy pułk tej nowej armii ukraińskiej został już stworzony w Nowogrodzie wołyńskim, pod kierunkiem komendy austro węgierskiej. Po uroczystej paradzie, w obecności oficerów austryackich, pułk pomaszerował do Kijowa, gdzie został oddany pod rozkazy jenerała Skoropadskiego, poczem odbyła się znowu wielka parada. Jest to bądź co bądź w życiu państwa ukraińskiego fakt doniosły. Hetman Ukrainy nie jest już wodzem bez armii.

Adam Wiaryga-Miniecki.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

8

Niekiedy w tej porze, kiedy kościoły bywają puste, wsuwała się nieśmiało, ukradkiem do domu Bożego i przyklęknawszy w jakimś mrocznym kącie, wpatrywała się długo w wizerunek Ukrzyżowanego, lub w słodkie oblicze Matki Boskiej

Kiedy odchodziła, zawsze jej było jaśniej i weselej na sercu. I dzisiaj wstąpiłaby do kościoła chętnie, o, jak chętnie, ale nie śmie i musi liczyć się z rzeczywistością.

Przystanęła nieco z boku, aby nie rzucać się ludziom w oczy i postanowiła czekać, aż się skończy nabożeństwo.

Wiedziała, że do tego kościoła chodzi zawsze matka Tadeusza Dowgirda.

Rózi dobrze już zmarzły nogi i policzki zaczerwieniły się z zimna, kiedy wreszcie ukazali się Dowgirdowie. Tadeusz prowadził pod rękę matkę, obok której szła Janka Dzieglewska, jasna, różowa, uśmiechnięta. W białym, zakopiańskim serdaku, z rękawami wyszywanemi w srebrne szaroty i białym, sukiennym berecie, podpiętym bukieciciem suszonych szarotek, wyglądała ze swoją różową, wiośnianą twarzą i przeźroczystemi, jasnemi oczyma, jak jakiś swojski kwiat, dziwnie zdrowy, silny i wytrwały, który kwitnie pomimo mrozu i śniegu.

Janka przechyliła trochę główkę i mówiła coś do Tadeusza, a on odpowiadał jej uprzejmym uśmiechem. Pani Dowgirdowa spoglądała kolejno na oboje i miała w tej chwili minę osoby zupełnie z życia zadowolonej.

Rózia uczuła bolesny skurcz serca. Pochwyciła zakochane spojrzenie Janki i wydało się jej, że Tadek jest bardzo swoją ładniutką towarzyszką zajęty.

Uderzyło to Rózię, że Dowgird i Janka są do siebie nieco podobni w typie i tworzą razem parę doskonale zharmonizowaną fizycznie.

Zatargała dziewczyną zazdrość nagła, namiętna, dławiąca. Całą siłą woli musiała zapanować nad sobą, aby nie podbiedz do tamtej złotowłosej, nie odtrącić jej, nie zawołać:

— On mój!... Rozumiesz!?.. On mój!...

Żywo postąpiła parę kroków, tak aby Tadek musiał ją dojrzeć. Jej cudne oczy spotkały się z oczyma młodego Legionisty i... Rózia odetchnęła uspokojona i szczęśliwa.

Ten ciepły, złoty promień, jaki rozbłysnął w źrenicach Dowgirda, spłynął w jej serce słoneczną jasnością. Takie spojrzenie nie kłamie!

Pani Dowgirdowa odwróciła głowę, aby zobaczyć komu się syn kłania. Na widok Goldbaumówny zmieniła się na twarzy z gniewu.

Przygryzła wargi, aby nie rzucić głośno jakiej ostrej, obrażającej uwagi.

Jasnem było dla niej, że dziewczyna umyślnie przyszła pod kościół, żeby zobaczyć Tadeusza.

Wydało się jej to niesłychaną bezczelnością i bezwstydnem natręctwem. Zmierzyła Rózię wejrzeniem tak pogardliwem, że panienka drgnęła pod tym wzrokiem, jak pod uderzeniem.

Tadeusz prowadził dalej matkę, ale z coraz większem roztargnieniem odpowiadał, a w końcu przestał zupełnie odpowiadać na wesoły szczebiot Janki.

Przed bramą domu, w którym mieszkali, puścił ramię matki i rzekł:

— Dowidzenia. Wrócę niedługo, mamusiu. Mam się jeszcze z kimś zobaczyć.

Pani Dowgirdowej oczy błysnęły ostro, gniewnie, a Janka zrobiła dziecinnie żałosną minkę. Spodziewała się, że Tadeusz teraz pójdzie do mieszkania jej rodziców przywitać się z nimi, bo tak było pierwotnie w projekcie.

— Z kimże to? - zapytała pani Dowgirdowa krótko i sucho, jakby nie swoim głosem.

— Muszę koniecznie iść. Umówiłem się — wyminął pytanie Tadek. — Dowidzenia mamusiu, dowidzenia panno Janko.

Z pośpiechem zabierał się do odejścia, ale matka wstrzymała go jeszcze.

— Tadziu!

— Co?

Ruchy jego, dźwięk głosu, wyraz twarzy zdradzały gorączkowe zniecierpliwienie.

— A jeśli ja cię poproszę, abyś tego umówionego widzenia zaniechał?

Prośba ta brzmiała jak rozkaz, ale na Tadka nie wywarła żadnego wpływu.

— Nie mogę, mamusiu, w żaden sposób nie mogę!

Przytknął rękę do czapki i już nie szedł ale biegł ulicą.

Pani Dowgirdowa ze względu na Jankę usiłowała pokryć swoje wzburzenie wymuszonym uśmiechem.

— Tadzio umówił się napewno z jakim kolegą. On taki do przesady słowny.

Janka skinęła w milczeniu główką. Różowa twarzyczka dziewczęcia zdała się nieco bledszą, a jasne oczy ciemniejsze.

Nie miała ona wprawdzie żadnych określonych podejrzeń, ale intuicya ostrzegała ją, że to nie do kolegi wyrywa się Tadeusz z takim gorączkowym pośpiechem.

A on pędził, gnany niepokojem, że Rozia nie doczekawszy się go odejdzie.

Nie odeszła jednak. Z daleka już poznał jej postać kształtną i smukłą. I ona spostrzegła go i zaczęła ku niemu iść szybko. Poprzez cienką, przejrzystą osłonkę białej woalki, ciemne oczy świeciły radością. Te cudne, sarnie oczy, które szły za nim wszędy. Czy wędrował białym gościńcem kieleckim, czy błotnistą drogą poleską, czy moczarnemi ścieżkami lasów wołyńskich nie opuszczały go nigdy. Do serca wprost mu zaglądały i prosiły: „Nie zapomnij o nas“.

Nie zapomniał. Pamiętał, choć tyle przeróżnych wrażeń przepłynęło mu w tym czasie przez duszę, choć tyle innych pięknych ócz dziewczęcych widział, z których niejedne może zapatrzyły się na dziarskiego legionistę.

Tadeusz i Rózia biegli ku sobie coraz szybciej, nie zważając na przechodniów. Chcieli choć o minutę, choć o pół minuty przyspieszyć upragnioną chwilę powitania.

Nareszcie!... Modre, jak kwiaty łąk polskich, oczy młodzieńca zatonęły w głębi przepastnych źrenic dziewczyny. Ręce zwarły się w długim, mocnym uścisku.

Stali tak długą chwilę, wpatrzeni w siebie, bez słowa. Ten i ów obejrzał się za nimi, nie zauważyli tego.

W końcu Rózia oprzytomniała pierwsza i bardzo powoli usuwając rękę, szepnęła:

— Chodźmy... przed siebie...

I zaraz rzuciła pytanie:

— Na długo?

— Na osiem dni.

— Tylko na osiem dni... — posmutniała.

— Nie można było na dłużej. Może wkrótce dostanę znowu urlop.

— Och!... Doprawdy?... A czy otrzymałeś mój list ostatni z dziesiątego grudnia?

— Tak... Dziękuję ci. Ale dlaczego przedtem nie pisałaś prawie dwa tygodnie? Tak mi było smutno... Myślałem, żeś zapomniała...

— Tadzik!... Jak mogłeś nawet przypuścić coś podobnego. Jabym miała... Nie, ty zresztą tego nie przypuszczałeś wcale.

Szli bardzo blizko siebie. Rękaw żakietu dziewczyny dotykał rękawa żołnierskiego płaszcza Legionisty. Nie rozłączali ani na chwilę wzroku, a oczy ich więcej mówiły sobie niż usta. Tyle mieli do powiedzenia, że nie wiedzieli od czego zacząć. Słowa wydawały się im jakieś marne, niewystarczające i służyły raczej do zamaskowania nadmiaru wzruszenia.

Szło od nich gorące tchnienie uczucia, które ma świeżość i zapach kwiatów wiosennych, barwę i żar płomienia, a silne jest jak śmierć, uczucia, które rodzi się w najtajniejszych głębiach istnienia ludzkiego. Przychodzi nieproszone, niespodziewane, przemożne, jakby dla potwierdzenia starej bajki arabskiej o dwóch połowach duszy ludzkiej, które szukają się. A kiedy się odnajną, to wtedy jest prawdziwa miłość.

— Kto wie! — uśmiechnął się Tadeusz w odpowiedzi na słowa Rózi — „kobieta zmienną jest...“

— Ale nie ja!.. Prędzej ty...

Przypomniała sobie nagle Jankę Dzięglewską i spytała zazdrośnie:

— A ta... blondynka... czy bardzo ci się podoba?

— Jaka blondynka? — zdziwił się Dowgird.

— No ta... Dzięglewska, z którą wracałeś z kościoła.

— Ach! Ją masz na myśli! — odparł z taką niewymuszoną swobodą, że Rózia zawstydziła się swoich chwilowych podejrzeń. — Doprawdy nie wiem, czy ona mi się podoba, czy nie. Dosyć sobie miła, ale to zdaje się jeszcze zupełne cielątko.

Rózia uśmiechnęła się. Ton, jakim mówił, nie mógł być udany. Znała zresztą Tadka, że jest on do przesady nawet, czasem brutalnie szczery, ale nie kłamie, nie wykręca się nigdy.

— Skąd ci przyszło na myśl pytać o Dzięglewską? — zapytał jeszcze Tadeusz, któremu nie wpadło nawet na myśl, aby Rózia mogła być zazdrosną o tę szczebiotliwą dzierlatkę.

— Ot, tak sobie — odpowiedziała wymijająco i po chwili dodała:

— Twoja matka lubi ją bardzo... O tyle ją lubi, o ile mnie nie cierpi.

Tadek zmieszał się nieco.

— Przesadzasz może — rzucił niepewnym tonem.

Rózia potrząsnęła smutnie głową.

— O nie! Nie przesadzam wcale. Pani Dowgirdowa nietylko, że mnie niecierpi, ale pogardza mną, brzydzi się.

W głosie dziewczyny dźwięczał żal, ale nie było w nim gniewu. Tadek milczał. Potwierdzić nie miał odwagi, zaprzeczyć nie mógł.

— Widzisz... — zaczął wreszcie, ale Rózia przerwała mu.

— Nie tłumacz nic. Ja ją rozumiem. Och! jak ja ją dobrze rozumiem!... Gdybyś ty wiedział...

— Co, Rozalko?

— Jaki to jest ten mój dom... rodzice... mój ojciec... Wiesz, mnie się czasem zdaje, że doprawdy nie mam prawa wdzierać się w twoje życie... że ja...

Nie pozwolił jej dokończyć. Ujął dziewczynę pod rękę i delikatnie przycisnął jej ramię do swego boku.

— Dziecino, daj spokój. Poco o tem mówić teraz, poco truć sobie pierwsze chwile. Ty dla mnie zawsze będziesz tem, czem jesteś: najmilszą, złotą moją dziewczyną, choć „nie swatała mi cię swatka, ani ojciec, ani matka“ — zanucił z cicha.

— Tadu!... mój jedyny...

Umilkli znowu i patrzyli sobie w oczy z bezmiernem uszczęśliwieniem, nieczuli na wszystko, co nie było nimi i ich miłością. Nie zwracali też najmniejszej uwagi na mijających ich ludzi.

Młody wojskowy o semickich rysach ukłonił się Rózi. Nie spostrzegła tego i nie oddała ukłonu. Tamten przystanął na chodniku i przez długą chwilę spoglądał przez swoje w złoto oprawne binokle, na zapatrzoną w siebie, pod rękę idącą parę.

Widok ten nie był mu widocznie przyjemnym, albowiem chmurnie ściągnął brwi i z gniewem targnął swoją ryżawą, w klin przyciętą bródkę.

— Wiesz, Tadziu — przerwała Rózia pierwsza to wymowne milczenie — wybiegłam dzisiaj rano przed ósmą na ulicę. Myślałam, że cię może spotkam.

— Masz tobie! A ja właśnie zaspałem. Wstałem dopiero o dziewiątej.

— Doskonale zrobiłeś. Tylko ja, gapa, zapomniałam o tem, żeś ty znużony i musisz się wyspać.

— Gdybym był przeczuł, wstałbym i tak...

— No, to lepiej, żeś nie przeczuł... — uśmiechnęła się rozradowana tą jego gotowością.

Przechodzili teraz koło małej cukierni, z bardzo skromną szybą wystawową. Tadek spojrzał na wystawę, potem na szyld i zawołał:

— Rozalko, pamiętasz?

Skinęła głową z uśmiechem.

— Oczywiście. Tutaj chodziłyśmy zawsze z Wandzią Borowicką na ciastka ze szkoły.

— A raz rozsypały się na chodniku książki. Wtedy ja „przywaliłem“ i pomogłem zbierać. Pamiętasz?

— No, chyba... Z jaką powagą przedstawiłeś się: panie pozwolą, że się przedstawię, jestem Tadeusz Dowgird. Ja z początku myślałam, że ty do Wandzi. Przecież ona taka cudna. Gdzie mnie się z nią równać.

— Niech sobie będzie cudna! Mnie się tam kto inny odrazu spodobał.

— Taki czarny szczur, prawda? — i Rózia kokieteryjnie trochę poprawiła swoje czarne, puszyste włosy, wymykające się z pod kapelusza.

— A jakże!... Taki ładny, milutki szczurek. A potem to pierwsze spotkanie w parku...

— Przypadkiem — uzupełniła z filuterną minką Rózia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowa praca w zakresie odbudowy kraju.

Sprawa odbudowy kraju naszego jest dzisiaj najważniejszą kwestyą, której cały naród winien poświęcić wszystkie swe siły. Całe połacie Polski w czasie toczących się na ziemiach polskich walk zostały zniszczone, wsie zniknęły nieraz po prostu z powierzchni ziemi, a po krwawych zapasach pozostały jeno gruzy, albo też zaledwie ślad, gdzie wieś stała. Również wiele miasteczek, przed wojną kwitnących i bogatych, legło w gruzy, a mieszkańcy ich są dzisiaj bezdomnymi tułaczami.

Wobec zbliżającej się zimy sprawa odbudowy staje się bardzo pilną; nie można bowiem pozwolić, aby jeszcze jedna zima przeszła nad naszym krajem i zastała setki — ba! tysiące uchodźców w norach ziemnych lub prowizorycznych lepiankach. To też ze wszystkich stron czynione są usiłowania, aby odbudowę jak najbardziej przyspieszyć.

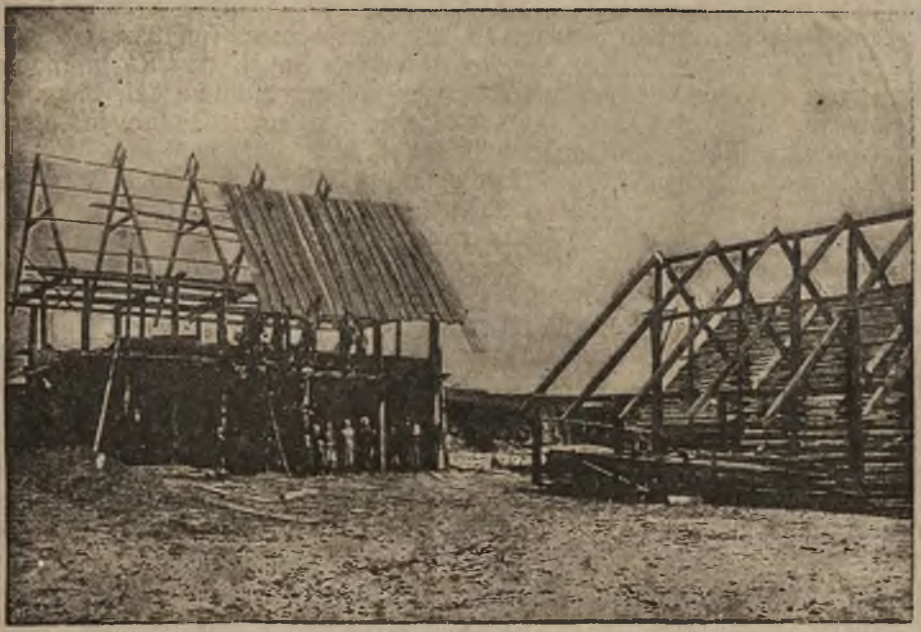
Przed kilkunastu dniami Patronat Stowarzyszeń Budowlanych dokonał w Puławach otwarcia trzymiesięcznego kursu strycharskiego dla kierowników cegielń Stowarzyszeń Budowlanych. Na kurs ten przyjęto sześćdziesięciu słuchaczy, przeważnie ze średnim wykształceniem, którzy wśród żywego zainteresowania zabrali się odrazu do pracy. Program kursu obejmuje naukę: badania gruntu pod budowę cegielni, rozplanowanie i budowę jej, wyrób cegły, układanie w piecu i wypalanie, gatunkowanie cegły i kopanie gliny, rachunkowość i arytmetykę, kalkulacyę wyrobu cegły, zawieranie kontraktów kupna i dzierżawy gruntów, program ten również obejmuje zasady organizacyi stowarzyszeń budowlanych i innych pokrewnych instytucyi współdzielczych, a także historyę ojczystą szczególnie handel i przemysł w Polsce. Kurs prowadzi pięciu nauczycieli.

Po odbytem nabożeństwie i pięknem przemówieniu księdza dziekana w kaplicy puławskiej, nastąpiło otwarcie kursu dokonane przez kierownika Patronatu Stowarzyszeń Budowlanych p. Stanisława Jasińskiego, przy współudziale pp.: delegata ministerstwa rolnictwa i dóbr koronnych Okołowicza, przedstawiciela sejmiku powiatowego Kłopotowskiego, komendanta powiatu pułkownika Zawadzkiego, starosty powiatowego szambelana dr. Gniewosza, delegata zarządu miejscowego Stowarzyszenia Budowlanego inżyniera Korytowskiego, delegata Wydziału Budowlanego G. K. R., inżyniera Siennickiego i innych.

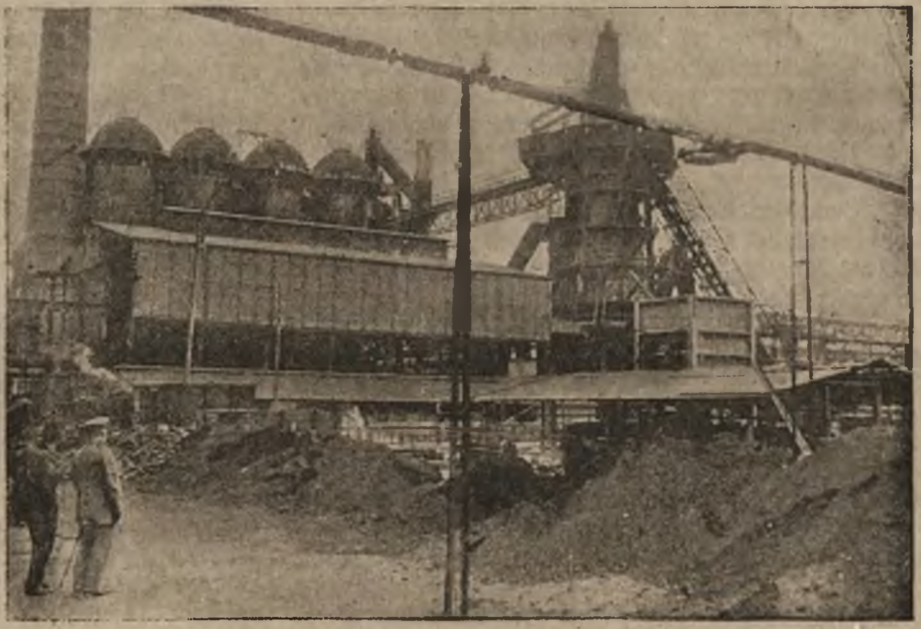
Wśród serdecznych przemówień przedstawicieli rządu polskiego, samorządu i c. k. rządu okupacyjnego, p. Jasiński odczytał wśród żywego zadowolenia szereg depeszy, które przyjęto oklaskami.

Między innymi nadesłali życzenia: imieniem Rady regencyjnej ks. Chełmicki, ks. biskup Ryx, minister spraw wewnętrznych, prezydyum zjazdu sejmików, prezydyum głównego komitetu ratunkowego.

Korzystając z uroczystości otwarcia kursu dokonano przy współudziale całego zespołu gości i ku-



Nowa praca w zakresie odbudowy kraju: Ogólny widok cegielni Stowarzyszenia Budowlanego w Puławach.



Kaźnie wojny: Piece hutnicze w hucie żelaza. (Fot. Bufa)



Nowa praca w zakresie odbudowy kraju: Grupa uczestników kursu strycharskiego dla kierowników cegielń Stowarzyszeń Budowlanych w Puławach.

ratorów poświęcenia świeżo zbudowanej cegielni Stowarzyszenia Budowlanego w Puławach.

Dwudziestopięciolecie pracy dziennikarsko-pedagogicznej.

Odbyty w dniach 21 i 22 sierpnia b. r. Zjazd nauczycielski w Krakowie wyraził w sposób niezwykle serdeczny cześć i podziękowanie p. Zygmuntowi Mayerowi, redaktorowi „Głosu nauczycielstwa ludowego", z okazyi jego ćwierćwiekowej pracy na niwie pedagogiczno publicystycznej. W r. 1893 pojawiać się poczęły w „Szkolnictwie", organie nauczycielstwa ludowego i w prasie peryodycznej artykuły z dziedziny stosunków prawnych nauczycielstwa, jakoteż szkolnictwa i wychowania publicznego, podpisywane znakiem „*er*". Artykuły te, wykazujące wielką znajomość przedmiotu, niezwykłą śmiałość przekonań i swadę literacką, zwróciły na siebie powszechną uwagę kół czytających i stały się tematem rozważań, a nawet dyskusyi sejmowej w r. 1895, przy sposobności rozstrząsania sprawozdania Rady szkolnej krajowej. Jak się niebawem okazało, autorem tych artykułów był młody naówczas nauczyciel ludowy, Zygmunt Mayer. Praca publicystyczna stała się niebawem wyłącznym jego udziałem. Po opuszczeniu zawodu nauczycielskiego wstępuje do redakcyi „Szkolnictwa" (1896), a później przez lat dziesięć kieruje tem pismem samodzielnie. W owym czasie powstaje pierwsza w kraju zawodowa organizacya nauczycielska, „Galicyjskie Towarzystwo nauczycieli ludowych", którego wiceprezesem jest p. Mayer, zapoczątkowanem również zostaje wydawnictwo „Biblioteczki nauczycielskiej", której największą część tomików wypełniają prace jubilata. Po opuszczeniu „Szkolnictwa" przeniósł się p. Mayer na Śląsk, gdzie początkowo pełnił obowiązki lustratora Kół T. S. L. w Morawskiej Ostrawie. Na Śląsku, we Frysztacie, redagował p. Mayer przez szereg lat organ ludowy „Głos ludu śląskiego" i pracował we wszystkich instytucyach kulturalnych. Jego zabiegom zawdzięcza powstanie polska szkoła (dziś już publiczna) w Ostrawie polskiej. Po powrocie do kraju osiadł p. Mayer najpierw we Lwowie, gdzie prowadził dodatek nauczycielski w „Gazecie Wieczornej" i umieszczał liczne prace z zakresu szkolnictwa w wielu dziennikach krajowych pod pseudonimem: T. K. Broniec. Ćwierćwiekową pracę publicystyczną p. Zygmunta Mayera umie ocenić przedewszystkiem nauczycielstwo ludowe polskie, to też szczerym wyrazem uznania był hołd, złożony mu (lubo w nieobecności jubilata złożonego chorobą) przez zgromadzenie delegatów Związku nauczycielskiego w Krakowie.



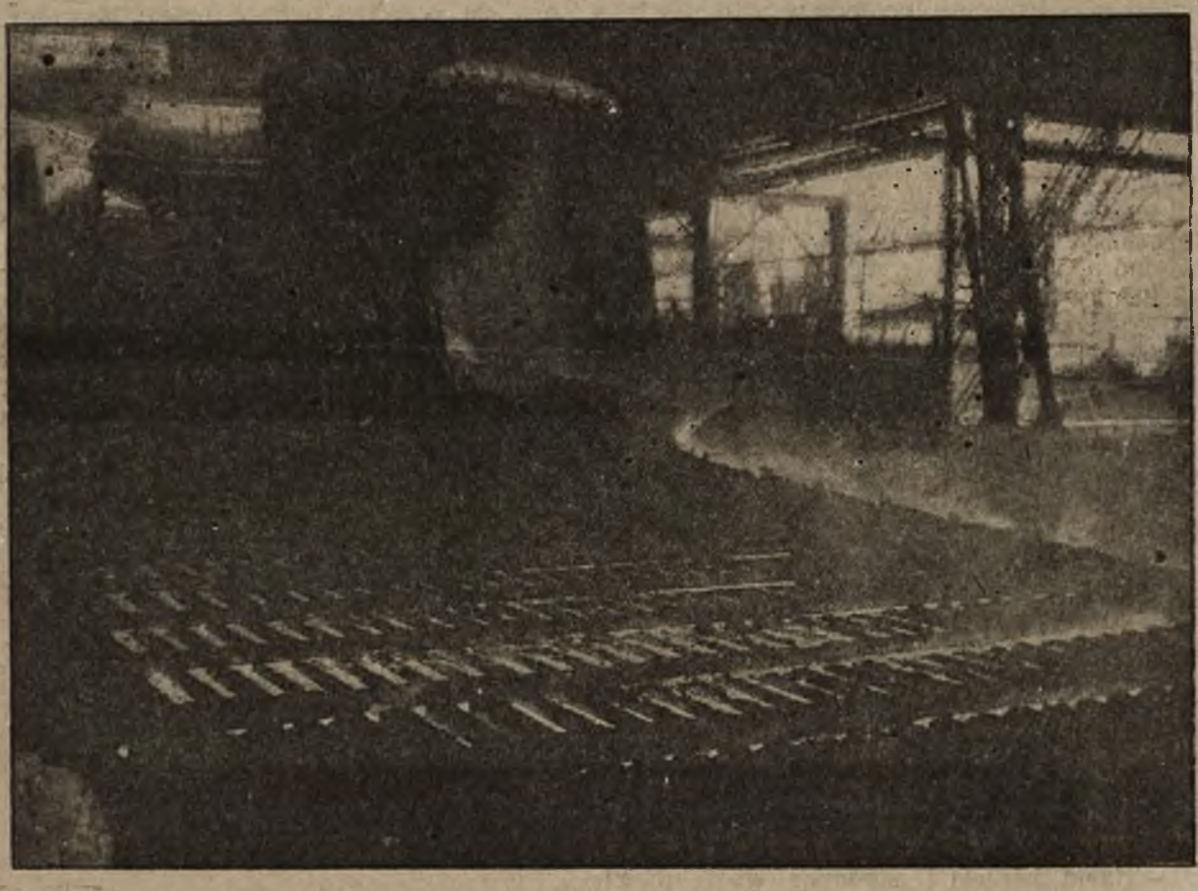
Wojsko ukraińskie: Defilada nowo sformowanej dywizyi ukraińskiej przed przedstawicielami mocarstw centralnych. (Woj. kwat. pras.)



Kuźnie wojny: Gaszenie koksu po wydobyciu z pieców. (Fot. Bufa)



Dwudziestopięciolecie pracy dziennikarsko-pedagogicznej: Redaktor „Głosu nauczycielstwa ludowego" Zygmunt Mayer.



Kuźnie wojny: Płynne żelazo spływa do form (Fot. Bufa)

Fred. M. Withe.

Szkarłatna orchidea.

Przekład J. S.

1

I.

Zapadający zmierzch wiosennego dnia rzucał cienie na oranżeryę sir Clemensa Frobishera, jednego z najbogatszych parweniuszów stolicy Anglii. Tylko przytłumiony gwar ulicy przedostawał się do tej cichej, zamkniętej cieplarni, gdzie z iście wschodnim przepychem nagromadzone były najcudniejsze orchidee niebieskie, czerwone, żółte i białe.

Właściciel tej wspaniałej cieplarni majątek włożył na jej wyposażenie. Cały Londyn mówił o tym jedynym w swoim rodzaju zbiorze orchidei, a zwiedzającego zachwycało zarówno bogactwo jak i wspaniałość kwiatów, różnorodność kształtów i barw; każdy też wiedział, że sir Frobisher przebaczyłby raczej osobistą obelgę, albo oszustwo, aniżeli, gdyby ktoś ważył się zerwać jeden z drogocennych kwiatów.

Pan Frobisher spędzał wszystkie wolne chwile w cieplarni; dziś też siedział na swem zwykłem miejscu pod grupą wspaniałych orchidei. Obok, na małym, marmurowym stoliku stała szklanka wina reńskiego, gatunku pośledniego; takiegoż gatunku był tytoń, który palił w zwykłej fajce glinianej. Były to zapewne przyzwyczajenia milionera jeszcze z czasów, kiedy środki nie pozwalały mu na większe wydatki. Natomiast garnitur pochodził bezsprzecznie z pracowni pierwszorzędnej i był bez zarzutu.

Sir Frobisher był to człowiek małego wzrostu, jednak silnie zbudowany, o głowie łysej, gładkiej i lśniącej, jak kula bilardowa, o szarych, zimnych oczach, których spojrzenie miało siłę hypnotyczną, o dziwnie krótkim nosie, wąskich ustach — koło których igrał grymas to sarkastyczny, to okrutny — oto zewnętrzny wygląd człowieka, który z ubóstwa doszedł do bogactwa. Zajmował też miejsce jako urzędnik dyplomatyczny, ale wnet został usunięty, a wtajemniczeni twierdzą, że stało się to z powodu podejrzanego udziału w jakichś interesach akcyjnych. Wskutek tego przez parę lat był bojkotowany w towarzystwie i dopiero po ożenieniu się z kobietą z towarzystwa i nabyciu wspaniałego pałacu w Piccadilly, otwarty się dlań podwoje towarzyskie.

Atmosfera cieplarni, przesycona ciepłem i wilgocią, usposobiała sir Clemensa do snu, mimo, że snopy elektrycznego światła zalewały przestrzeń cieplarni. Właśnie myślał o udaniu się na spoczynek, kiedy usłyszał niecierpliwe dzwonienie do bramy. Wnet ukazał się służący z zapytaniem, czy pan przyjmuje jeszcze gości.

— Jeśli to zwykły znajomy, to oczywiście nie, jeśliby to zaś był jeden z mych przyjaciół-kompanionów, sprowadź go tutaj i służbie każ pójść spać.

Hasid udał się do Hallu i wprowadził do domu człowieka, który niósł w ręku długą, białą tubę papierową tak ostrożnie, jak gdyby to był przedmiot niezmiernie kruchy.

— Paweł Lopez! — zameldował służący.

Przybysz skłonił się z dziwnym uśmiechem. Był to mały mężczyzna o czarnej brodzie, o ruchach nerwowych i niespokojnych oczach, których lekceważące spojrzenie spoczęło na twarzy sir Frobishera.

— Pewnie mnie pan teraz nie oczekiwał? — zapytał wyczekująco.

— Nie! — odparł gospodarz sarkastycznie — Sądziłem, że już wisisz, mój przyjacielu. Przypominasz pan sobie nasze ostatnie spotkanie? Było to...

Urwał. oparłszy się wygodniej w fotelu, na poły ukryty śród zwisających pęków orchidei, podobnych do lśniących barwami motyli.

W niemym zachwycie napawał się Paweł Lopez widokiem kwiatów.

— Szatan dobrze zaopatrzył swego przyjaciela! — rzekł wkońcu z drwiącym uśmiechem.

— Ach, jakiż pan zazdrosny! — odparł gospodarz — Cóż to pan trzyma w ręku?

— Orchideę. Za pewną cenę mogę ją panu zostawić.

— Ileż pan żąda?

Lopez nie zaraz odpowiedział. Odwijając ostrożnie papier, wydobył długą, zeschniętą łodygę, na której zwisało kilka zwiędłych pączków kwiatu. Korzenie przybite były zardzewiałymi gwoździami do korka, a całość wyglądała tak, jak gdyby ktoś podniósł to ze śmietnika.

Frobisher patrzył na hiszpana z pod powiek na wpół przymkniętych.

— Z pewnością znów omyłka! — odezwał się wkońcu na pozór obojętnie — Jakżeż często sam już polowałem na orła, a złowiłem tylko szpaka! Zaprawdę, od lat całych nie udało mi się znaleść nowości. Czyż moje ulubione kwiaty nigdy nie dostaną jakiej siostrzycy?

Pieszczotliwie przesunął ręką po zwisających kępą kwiatach, podczas gdy Lopez z powagą wyciągnął z kieszeni sznur, który rozciągnął wzdłuż ściany. Przymocował doń suchą łodygę, którą rozwinął i rozciągnął tak, że z bocznemi gałęziami tworzyła długość czterdzieści stóp. Potem otworzył kurek pieca i para wnet białą chmurą napełniła przestrzeń cieplarni.

— A teraz pan coś zobaczy — rzekł Lopez — coś, za co mnie pan z pewnością uściska.

Na zwiędłych pękach krzewu para poczęła się skraplać, a wilgoć wyprostowywała sznur jak strunę. Frobisher zauważył poprzez mgłę pary, jak zeschnięty krzew począł formalnie zakwitać

— Laska Arona! — szepnął — Za prawdziwą dałbym bez namysłu stos złota

— A jeszcze więcej za to, co pan teraz pokażę! — wtrącił Lopez — Oto, spojrz pan!

Zakręcił kurek, obłok pary szybko się rozszedł.

Jakiż cud roztoczył się teraz przed zdumionym wzrokiem obydwóch mężczyzn. Sucha, zwiędła łodyga ukazała się żywą rośliną koloru soczysto-zielonego, okrytą kiścią długą, lśniącą kwiatów białych, różowo obramowanych, zakończonych na pręcikach całą masą ledwie dostrzegalnych malutkich, purpurowych kwiatuszków, czyniących wrażenie, jakby rój motyli siadł na białej lilii. Niepodobna wyobrazić sobie coś bardziej niepokalanego, a zarazem oszałamiająco pięknego. Z okrzykiem radości zerwał się sir Frobisher z miejsca. Drżał ze wzruszenia, krople potu okryły mu czoło.

— Szkarłatna orchidea! — zawołał zachrypniętym głosem — Hasidzie, to szkarłatna orchidea!

Armeńczyk przybiegł z sąsiedniego pokoju; i on wykrzyknął, ale to był okrzyk grozy. Jego twarz brunatna stała się w jednej chwili zieloną i takim błędnym wzrokiem patrzył na cudne kwiaty, jakby nie kwiaty, ale całe gniazdo jadowitych wężów ujrzał przed sobą.

— Porąbać, zniszczyć ją! — wołał - Wrzućcie ją w ogień, a popiół rozrzućcie na cztery strony świata! Zniszczcie ją, panie! Ten człowiek jest obłąkany, on zapomniał o straszliwej nocy w Stambule!

— Czy mam ci na głowę wylać kubeł zimnej wody, ty głupcze zabobonny? — roześmiał się Frobisher — Przecież przygoda w Stambule była tylko przypadkiem. A więc istniała jeszcze jedna szkarłatna prócz mojej przepadłej? Ach, to skarb, to królowa orchidei! Gdzieżeś ją pan znalazł, panie Lopez?

— Pochodzi ona z małego zbioru w okolicy Londynu.

— Ach, ten gałgan! — wymyślał Frobisher — Ma szkarłatną orchideę i chowa ją dla siebie! Ta, którą wówczas straciłem, była poprostu zielskiem w porównaniu z tą. Wymień pan sumę, jaką żądasz, Lopez, a gdyby była zbyt wygórowaną, to poprostu ja i Hasid zamordujemy pana i przysięgniemy, że pan był włamywaczem, któregośmy zabili w obronie własnej.

Lopez roześmiał się cicho, śmiechem twardym, nieprzyjemnym.

— Pewnie, że zrobiłby to pan bez skrupułów — odrzekł niedbale — ale nie zachodzi potrzeba tego czynu, albowiem właściciel kwiatu nie żyje, a ja żądam nie wiele.

— Takiś skromny, przyjacielu? No mów pan!

— Pan tylko uczyni fałszywe zeznanie i trzymać się go będzie wciąż jednakowo. Jestem obecnie niby w niebezpieczeństwie i mógłbym wisieć. Jeśli trzeba będzie, musi pan oświadczyć, że byłem u pana wczoraj wieczorem o godzinie dziewiątej i że siedziałem do dwunastej. Hasid musi to samo stwierdzić.

— Hasid pamięta i zapomina wedle moich rozkazów — rzekł Frobisher, akcentując słowa z naciskiem.

Armeńczyk przytaknął mechanicznie. Wzrok jego wciąż jeszcze był pełen przerażenia utkwiony w kwiaty, słyszał i rozumiał tylko instynktownie.

— Więc wczoraj wieczorem byłem w domu — ciągnął Frobisher w tym samym tonie — a pan, panie Pawle odwiedziłeś mnie o oznaczonej godzinie. Czy tak, Hasidzie?

— Na duszę mego ojca, tak — potwierdził Armeńczyk drżącym głosem. — Spalcie ją, zniszczcie ją! To, co mówi mój pan, jest prawdą. Zniszczcie, spalcie ją!

— Chłopak zwaryował — roześmiał się Frobisher — ale do jutra odzyska rozum. Weź pan drabinę, panie Lopez i przytwierdź pan nowy mój skarb pod dachem, ot tam, na tym haku. Jutro królowa otrzyma własny przewód pary. Moja ty cudna Afrodyto, dobrze ci będzie u mnie!

Rękę przesłał orchidei całusa.

— Czyż nie wygląda teraz jak planeta na niebie? Lopez, jestem panu istotnie wdzięczny. Przyjdź pan do mnie, gdy będę spokojniejszy, wynagrodzę pana po królewsku. Siadaj pan, każę panu podać najlepszego wina.

— Dziś nie mogę zostać — odparł Hiszpan — mam jeszcze pewne interesy do załatwienia, a wówczas zwykłem nie palić ani pić przedtem. Dobranoc, książę wszystkich nędzników, śnij pan przyjemnie!

Oddalił się, przeprowadzony przez Hasida. Frobisher spoglądał za nim z miną zadowoloną i nie czuł się wcale obrażonym drwiącemi słowy pożegnania, był bowiem zbyt szczęśliwym z posiadania nowego skarbu i długo jeszcze siedział w fotelu, wpatrzony z zachwytem w szkarłatną orchideę.

Nawet kiedy Hasid wszedł z zapytaniem, czy przyjmie jeszcze hrabiego Lefroy i jego sekretarza Manfreda, polecił ich poprosić jutro na obiad.

— Dziś chcę sam pozostać z cudną moją szkarłatną orchideą, Hasidzie. Tej rozkoszy niechaj mi dziś nic nie zmąci!

II.

Była to pora drugiego śniadania. Frobisher siedział w swoim pokoju, snując plany i obmyślając środki, którymi by mógł osiągnąć podstępną drogą rzeczy, jakie mógł był uczciwie zyskać. Ale dla niego tylko to miało powab, co zawdzięczał swej chytrości i wynajdywał coraz to nowe sposoby do oszukiwania bliźnich, aby się ich kosztem wzbogacać.

Odgłos lekkich kroków zbudził go z zadumy. Przed nim stanęła młoda, smukła dziewczyna, o lśniących, ciemnych włosach i ciemno-niebieskich oczach.

— Chciałabym zabrać te kwiaty, które mi, pan przyrzekł, panie Klemensie — odezwała się dźwięcznym głosem.

— Nazywaj mnie wujem, a dam ci całą oranżeryę — odparł miloner, spoglądając z podziwem na dziewczynę. — Wskutek ożenienia stałem się przecież twoim wujem, a prócz tego jestem twym opiekunem. Jakżeż cudnie dziś wyglądasz! Istotnie, jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem!

Angela Lyne słowa te przyjęła z największą obojętnością. O ile kochała ciotkę swą, lady Frobisher, o tyle nienawidziła jej męża, u którego do tej pory nie odkryła ani jednego dobrego rysu.

— Proszę, daj mi pan te kwiaty — rzekła niecierpliwie — już jest późno. Jestem proszona na obiad, a przedtem jeszcze na koncert dobroczynny u lady Marchgrave, późno więc wrócę do domu. Hasid otworzy mi bramę.

— Zabierz lepiej klucz od bramy — zauważył i powstał, by własnoręcznie przypiąć do sukni Angeli przygotowane kwiaty. — Jeśli będziesz miała czas, pokażę ci orchideę, która nawet twój podziw wzbudzi, teraz nie, bowiem ta królowa kwiatów musi być podziwianą z całem uznaniem. Tak sądzę, że będziesz się dziś bardzo podobała w towarzystwie.

Co się tyczy kwiatów, nikt nie mógł odmówić artystycznego znawstwa milionerowi. Białe, żółto obramowane kwiaty orchidei cudnie wyglądały przy sukni Angeli i były tematem rozmów licznie zgromadzonych gości u lady Marchgrave.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wielki odwrót Niemców.

Na zachodzie kontrofenzywa koalicyi zaczyna coraz bardziej naciskać na front niemiecki, zmuszając Niemców do zwijania frontu i odwrotu na wschód. Wedle ostatnich wiadomości linia Zygfryda i Hindenburga została przełamana, a wojska niemieckie cofają się na dalsze pozycye, leżące już poza sferą obronną przeszłego roku. Pokazało się, iż walka łodziami podwodnemi nie była na tyle skuteczna, aby uniemożliwić koalicyi dowiezienie zarówno z Ameryki, jak i z Anglii i koloniii angielskich wielkich posiłków, dzięki czemu uzyskali oni znaczną liczebną przewagę. Niemcy sami przyznają, że tego ostatniego nie spodziewali się i po części tym nadmiarem sił koalicyi zostali zaskoczeni. Linie ich, po ostatnich wiosennych zwycięskich ofenzywach, były tak po wyginane, iż dopuszczały silne flankowe uderzenia. General Foch wykorzystał tę właśnie słabą stronę pozycyi niemieckich i zmieniając zręcznie pole operacyjne, zaczął szybkiemi uderzeniami we flanki pozycyi niemieckich, wypierać Niemców z zajmowanych stanowisk i odrzucać ich ku wschodowi. Trzymał on się tej taktyki, że spróbowawszy uderzenia w jednem miejscu, skoro widział, że ono zostało przez odpór niemiecki już pochwycone, nie upierał się przy przełamaniu frontu na tem właśnie miejscu, ale natychmiast zmieniał teren operacyi, wyszukując nowe miejsce ataku, nieraz dosyć odległe od pierwotnie wybranego i tu znowu próbował szczęścia. W ten sposób zmuszał on Niemców do ustawicznego przesuwania rezerw, nużył żołnierzy niemieckich, sam nie potrzebując się liczyć z odległościami, gdyż nowe uderzenia wykonywał zawsze nowemi siłami. W takiej walce Niemcy utracili cały dorobek ostatnich zwycięskich ofenzyw we Francyi. Obecnie zaś została poważnie zagrożona linia Zygfryda. Została ona przełamana od północy w kierunku na Cambrai na znacznej przestrzeni, a w ten sposób został zagrożony cały front flandryjski.



Wielki odwrót Niemców: Rozbite stanowisko obserwatora artyleryjskiego (Fot Bufa).

Zdobycie bowiem Cambrai stanowi zniszczenie ważnej linii kolejowej, łączącej front flandryjski z linią Zygfryda, a zarazem jest obejściem pozycyi fortecy Lille. Postępy angielskie w kierunku na Cambrai oddziałały już po części na front flandryjski, gdyż Niemcy cofnęli się tutaj na znacznej przestrzeni, porzucając nawet wzgórza Kemmel, o których posiadanie takie krwawe walki toczyli.

Gdzie ustali się obecnie front niemiecki, przewidzieć trudno. Zależeć to będzie od dalszych rezerw koalicyi, jakie zostaną jeszcze w walkę wprowadzone. W każdym razie pomoc Ameryki dała się odczuć istotnie bardzo poważnie, przedewszystkiem w ogromnej przewadze materyału wojennego, jaki dzięki Ameryce po stronie koalicyi się znalazł.

Kraj, jaki poza sobą Niemcy zostawiają jest, jak sami stwierdzają, jedną wielką pustynią. Liczą oni jeszcze na to, iż przeciągnięcie się walk do zimy osłabi nacisk nieprzyjaciela, którego kolorowe wojska będą musiały ze względu na mrozy być wycofane z frontu i odesłane na południe Francyi.

Podajemy illustracye opuszczonych pozycyi niemieckich.



Wielki odwrót Niemców Opuszczone przez Niemców pozycye pod Soissons (Fot. Bufa).



Wielki odwrót Niemców: Zniszczony skład amunicyi (Fot Bufa)



Wielki odwrót Niemców: Rozbity bombami lotników dworzec kolejowy (Fot. Bufa)

Kronika tygodniowa.

W ubiegłym tygodniu, już przy samym końcu kroniki, wybierałem się do Warszawy na elekcyę króla polskiego, jeśli zaś nie pojechałem, to nie moja w tem wina, ale okoliczności, które tak się złożyły, że zaczęto się zajmować czemś ważniejszem, a sprawa obsadzenia tronu polskiego odłożoną została *ad calendas graecas*, to jest aż do czasu, gdy znów nabierze aktualności. Stanie się to zaś wtedy, gdy wielcy politycy centralni przekonają się, że im Polaków na coś potrzeba.

Nam tymczasem wolno żyć nadzieją, że przecież doczekamy się kiedyś spełnienia naszych najserdeczniejszych życzeń, ale kiedy się to stanie, to już zależy od zbiegu okoliczności, czyli od najrozmaitszych politycznych konjunktur i względów, których zwykły śmiertelnik nie byłby nawet zrozumieć w stanie i dlatego też prawdopodobnie nikt mu ich nie tłumaczy. Powiada mu się tylko: „Służ wiernie i siedź cicho!.. My już o tobie nie zapomnimy... Dostaniesz coś..."

Ale kiedy się tego możemy spodziewać i jak owo „coś" ma wyglądać, tego dotąd nikt nie wie, nawet ci, którzy się kręcą koło wielkiego ołtarza politycznego i udają, że wszystko wiedzą. Czynią więc zupełnie przeciwnie, niż ów starożytny filozof, który tem się właśnie chlubił, że nic nie wie, a przecież wiedział dużo. Ale też oni nie są bynajmniej filozofami, sprawa ogółu zupełnie im nie leży na sercu, ale każdy radby tylko sam dla siebie coś uszczknąć.

To się nazywa „polityka realna" gdyż może nam w przyszłości przynieść wiele korzyści. Tak nas przynajmniej ciągle zapewniają nasi wielcy ludzie, a my im wierzymy, albowiem „błogosławieni są ci, którzy wierzą".

Swojego czasu obiecano Albanii, że Europa zajmie się jej losem, ale kazano czekać. I w samej rzeczy doczekała się swojego *mbreta* w osobie księcia Wieda, który tylko dlatego dłużej nie siedział na albańskim tronie, iż mu tam było niewygodnie, a albańskie powietrze mu nie służyło. Ale w każdym razie doczekali się Albańczycy tego, co im łaskawie obiecano, a o to się właśnie rozchodzi.

W owym czasie była Albania na porządku dziennym i na ustach całego politycznego świata, dziś przyszła kolej na Polskę, mającą być tym języczkiem u wagi, który się przechyli na tę lub ową stronę.

Cierpliwość jest bardzo piękną cnotą i prawdopodobnie dlatego tak nas w niej ćwiczą nasi opiekunowie, pragnący tylko, jak sami mówią, naszego dobra, dla siebie samych zaś nic, prócz „wdzięczności", nie mówiąc jednak, jak ona ma wyglądać i jaką mieć wartość w obliczeniu na marki lub korony.

Musimy się jednak uzbroić w cierpliwość, tego wymaga racya stanu i nasze własne dobro, o którem tylko myślą nasi przyjaciele. Pokazało się zaś, że tych przyjaciół mamy teraz nawet więcej, niż się spodziewaliśmy, a są między nimi nawet i tacy, którzy się do znajomości z nami przyznać nie chcieli, utrzymując, że jesteśmy *eine minderwertige Nation*, z którą się nikt liczyć nie powinien. Ale zbieg okoliczności pokazał widocznie, że tak nie jest i prawdopodobnie dlatego zmienili swe zdanie. Oby się tylko nie ziściło na nas stare przysłowie o tym zającu, którego zjadły psy wśród serdecznych przyjaciół.

Każą nam czekać, czekamy więc cierpliwie, aż w samej rzeczy wejdziemy znów na dzienny porządek światowy. Czeka więc i kronikarz, by się wybrać na elekcyę, a przez imaginacyę może nawet i na koronacyę, a tymczasem cieszy się. jak to mówią smakiem owej elekcyjnej kiełbasy, na której zakończył poprzednią kronikę.

To tylko kwestya, a raczej pytanie, na które trudno dać odpowiedź, czy nas też przypadkowo nie zapomną zaprosić na ową elekcyę, bo to dzisiaj na świecie panują już takie obyczaje, że wszelkie rachunki załatwia się bez gospodarza, to znaczy, że interesowanego nie pyta się nigdy o zdanie.

Tak się stało swojego czasu z Albanią, to samo powtarza się teraz z Polską. Obiecano wprawdzie, że ją otrzymamy, ale na razie nikt nie może powiedzieć, jaką i kiedy. Co do czasu jej reaktywowania, to ostatecznie możemy jeszcze nieco poczekać, skoro dotąd czekaliśmy tak cierpliwie, smutniej przecież przedstawia się kwestya, jak też ona będzie wyglądać, bo różne jej dawne części składowe zbyt są potrzebne sąsiadom, by się ich tak łatwo mieli wyrzec, zwłaszcza, że w zamian nie żądają nic więcej, prócz wdzięczności.

Na razie cieszymy się obietnicą, jaką nam łaskawie uczynić raczyły mocarstwa centralne, ale nie trzeba zapominać i o tem, że Polskę obiecuje przywrócić do życia i koalicya i to w granicach jej historycznych, nie okrojonych żadnymi względami politycznymi.

To tylko bieda, że obie strony obiecują kożuch, gdy tymczasem skóra jeszcze na baranie, ten baran jeszcze żyje, a nam głównie interesowanym, ciągle zimno.

Kto pierwszy, ten lepszy — mówi przysłowie.

Pierwsze odezwały się mocarstwa centralne, a my ich oświadczenia przyjęliśmy za dobrą monetę i żyjemy nadzieją, że koniec naszej niedoli już bliski. Mamy mieć Polskę z ich łaski, musimy się więc zadowolnić tem, co nam dają, boć przecież moglibyśmy byli i nic nie dostać, a musielibyśmy i tak siedzieć cicho. Aby nasza Ojczyzna miała sięgać „od morza do morza", to sobie musimy wybić z głowy, gdyż na to nie pozwalają względy wyższej natury. Lepszy rydz, niż nic — tak nam mówią i to tak przekonywująco, że nasi zastępcy, o ile mają czas zajmować się sprawami, obchodzącemi ogół, są tego samego zdania, radzą cierpliwość i spokojne wyczekiwanie.

Jak zaś wyglądają obecne nowotwory polityczne, najlepszy dowód mamy na Ukrainie, powołanej do życia również z woli i łaski mocarstw centralnych, którym do ich celów koniecznie jej było potrzeba. Ale Ukraina ma lepszych i wytrawniejszych polityków, niż my, więc też, poczuwszy się raz na własnych nogach, choć się one jeszcze nieco chwieją, nie czeka na to, co jej kapnie z łaski, ale stawia swoje własne żądania i stara się je nawet umotywować. Jednem z nich ma być utworzenie portu ukraińskiego w... Gdańku. Mówię „ma być", gdyż nawet nie przypuszczam, by znalazł się bodaj jeden, choćby nawet najbardziej zapalony Ukrainiec, któryby aż tak daleko chciał posunąć granice swojego kraju. Gdyby tak być miało, to z równą słusznością mogłaby sobie Ukraina rościć pretensye naprzykład do wyspy Sumatry, zwłaszcza, że jej nazwa przypomina pewne ruskie wyrażenia.

Gdyby nasi politycy potrafili i chcieli tak energicznie zabiegać o nasze interesy, mielibyśmy dotąd Polskę, sięgającą w samej rzeczy „od morza do morza", mielibyśmy i króla, a tak mamy tylko nadzieję, że się to wszystko kiedyś spełni, o ile naturalnie nie zajdzie coś, co każe zmienić dawne plany. A jeśli gdzie, to właśnie w polityce taka *vis major* wchodzi bardzo często w grę, a przychodzi zwykle niespodzianie, niczem ów *deus ex machina*. Nawet, jeśli zajdzie potrzeba, choć jej niema, na nią zwala się całą winę i ją się powołuje na wytłumaczenie.

Dajmy jednak na to, że w samej rzeczy polityczne względy pozwolą na zrealizowanie danych nam obietnic, że Polska zacznie istnieć w rzeczywistości, a nie na papierze tylko, że będzie mieć granice, jakie się jej słusznie należą. Czy wówczas nie byłoby wskazanem, byśmy się sami oświadczyli, kto ma nami rządzić. Taki wybór byłby daleko odpowiedniejszym, niż nominacya, odpowiadająca może bardziej wyższym względom, ale mogąca bardzo łatwo paść na jednostkę, do tego się nieznpełnie nadającą.

Wspomniałem na początku o elekcyi, wprawdzie w żarcie tylko, ale obecnie widzę, że ona jest w samej rzeczy konieczną, choć może nie w tych rozmiarach, jak dawniej, przed laty. I to tylko raz, na samym początku, a nie, broń Boże, jak to dawniej bywało, przy każdym wakansie. Skoro zaś mają być wybory, musi być i kiełbasa wyborcza, w tym wypadku w lepszym gatunku, więc „elekcyjna".

I znowu pytanie, kto ma ponosić wydatki z jej przygotowaniem połączone. Mnie się zdaje, że ci, którzy się ofiarowali z gotowością przywrócenia nam naszych dawnych praw.

Ale znów z tem bieda, że w takim razie jakość owej kiełbasy, której dostarczenie powierzy się jakiemuś dostawcy wojennemu, pozostawi wiele do życzenia, i łatwo nas może narazić na niestrawność, w tym wypadku politycznej natury, do której chyba mieliśmy już i czas i sposobność się przyzwyczaić.

„Niech żywi nie tracą nadziei.." powiedział poeta, a za nim powtarzam i ja to samo, spodziewając się, że się ziści bodaj część danych nam obietnic. Niechajby bodaj część, boć w szafowaniu niemi przyjaciele nasi i bliżsi i dalsi nie mają miary. Gdyby się one w samej rzeczy wszystkie spełnić miały, bylibyśmy narodem najszczęśliwszym na świecie, a wówczas nie my z nimi, ale cały świat musiałby się liczyć z nami. Niestety, zbyt dobrze znaną jest nasza łatwowierność, która jest naszem nieszczęściem. Gdyby nie ona, nie mielibyśmy dziś tyle rządów, rzekomo polskich, pracujących tak w Europie, jak i w Ameryce, rzekomo dla dobra narodu, w samej zaś rzeczy dla obcych interesów, w zamian za obietnice... złotych gruszek na wierzbie. Jednych gnała idea, drugich obowiązek i stało się, że brat godził w pierś brata, a wynik zawiódł wszelkie, najśmielsze nawet nadzieje.

W polityce, jak się to już nieraz mówiło, nic się przewidzieć nie da, nie można też już teraz mówić, co będzie za rok, czy choćby nawet za miesiąc, skoro każdy dzień może nam przynieść niespodziankę. Jak dziś rzeczy stoją, wie każdy, o tyle przynajmniej, o ile to potrafi zrozumieć z jałowych urzędowych komunikatów i luźnych półsłówek, otwierających pole dla domysłów, ale co będzie jutro, tego nikt nie wie, nawet — niech się na mnie nie obrazi przypadkiem „prorok magistracki", że się tak wyrażę — i on, bo i on tylko ludzkiemi oczyma patrzy na sytuacyę, a ona z dnia na dzień staje się coraz ciemniejszą i mniej zrozumiałą, zwłaszcza wobec ostatnich wydarzeń na zachodnim froncie, na południu i w Rosyi. Zaczyna się na świecie warzyć coś, co ogromnie przypomina bigos, który w języku kucharskim nazywa się „tajemnicą w kapuście".

Coś podobnego dzieje się obecnie i w polityce, a najlepszy jej znawca zachodziłby próżno w głowę, by wyciągnąć z tego jakieś konsekwencye i wnioski na przyszłość. *Ergo* i o spełnieniu się naszych żądań nic mówić nie możemy, wolno nam tylko myśleć, gdyż wedle zasady realnego polityka tylko *die Gedanke sind zollfrei* i to o ile się myśli po cichu. Głośno myśleć nie jest bynajmniej wskazanem, zwłaszcza w tych czasach, gdy się wmawia w ogół, że się wogóle myśleć nie powinno, skoro są inni, którzy myślą za siebie i za nas.

Niechaj jednak nikt przypadkiem nie myśli, że z kronikarza stał się nagle jakiś wielki mąż stanu i polityk pierwszej wody. Broń Boże!... Jest on zawsze tem, czem był dawniej, jeśli zaś poruszył te sprawy, to tylko dlatego, że ciągle o tem i słyszy i czyta, a rezultat z tego taki, iż nie może znaleźć punktu wyjścia. W takiem zaś samem położeniu muszą się znajdować i inni śmiertelnicy, nic też dziwnego, że chce się z nimi podzielić swemi zapatrywaniami, a może się przecież znajdzie ktoś taki, kto mu potrafi rozjaśnić to prawdziwie błędne koło, w jakiem się polityka, zwłaszcza w sprawach polskich, stale dotąd obracała i obraca.

Choćby zresztą okoliczności tak się złożyły, że dzięki „wyższym względom, nie dającym się usunąć", mielibyśmy i tym razem wyjść.. z kwitkiem, niechaj nas to pociesza, że przecież pozostaną nam następstwa obecnej wojny, choćby tylko pod postacią hiszpańskiej choroby i jakiegoś tam nowomodnego ropnego zapalenia płuc, w dwu dniach zwalającego z nóg najsilniejszy organizm i zmuszającego człowieka do „ewakuowania się" ...na Rakowice.

O zniszczeniu kraju i to pod każdym względem, nie mówię, bo wiedzą o tem już wszyscy. Do dobroczynnych następstw wojny mógłbym zaliczyć także i tego rodzaju wykwity prawdziwie wojenne, jak dostawcy wojenni, paskarze itd., ale nacieszcie się nemi mamy dość czasu, a mnie właśnie brak miejsca na wylanie potoków mej radości.

Według komunikatów, nadsyłanych drogą urzędową z terenu walki, głównie zaś z frontu zachodniego, na koniec wojny w tym roku bynajmniej się nie zanosi. Koalicya rozpoczęła tam gwałtowną ofenzywę i to ze skutkiem dla siebie, wobec czego Niemcy zaczęli coraz bardziej „skracać swój front".

W tych warunkach o zawarciu pokoju ani mowy być nie może. Po zamianie ról przedstawiciele ententy stawialiby takie warunki, na które Niemcy nie mogliby się zgodzić. Jak dziś rzeczy stoją, zanosi się na to, iż wojna będzie się dalej toczyć z coraz to większą zaciętością aż do chwili, w której jedna strona położy drugą na obie łopatki.

Ale która z nich będzie tą „jedną", a która „drugą", tego powiedzieć nie możemy, łatwo też stać się może, że obie dadzą sobie gruntowną radę i wyjdą z tej imprezy tak, jak owe myszy Radziwiłłowskie, które się wzajemnie pożarły, zostawiając na polu walki tylko niedogryzione ogony.

To była moja przepowiednia, choć nie jestem prorokiem, z przed lat trzech czy czterech.

Pantoflowa poczta donosi, że owo „skrócenie niemieckiego trontu" jest tylko pewnego rodzaju przyczajeniem się i przygotowaniem do nowego skoku, wobec czego znów mocarstwa centralne rozpoczęłyby ofenzywę, a cała historya przeciągałaby się *ad infinitum* w myśl zdania „w koło Macieju!..."

Zresztą, jak będzie, przekona się, kto cierpliwy.

*Kronika niniejsza od samego początku do samego końca utrzymaną została w tonie wybitnie politycznym by zadość uczynić żądaniom tych, którym jest mało tej politycznej strawy, jaką przynoszą stale pisma codzienne.

We wnioski na przyszłość i przypuszczenia, co być może, jeżeli nie zajdzie coś zupełnie innego, kronikarz się nie bawi, by się potem nie narazić na zarzut, że się jego przewidywania nie ziściły, łatwiej zresztą i wygodniej omawiać to co się już stało, niż to, co dopiero być może i to, Bóg raczy wiedzieć, kiedy.

Z tygodnia.

Ustąpienie Rządu polskiego.

Po przyjeździe premiera dr. Steczkowskiego do Warszawy Rząd odbył naradę i postanowił podać się do dymisyi.

Rada Regencyjna przyjęła dymisyę. Przyczyną podania się Rządu do dymisyi ma być choroba premiera, która wymagać będzie jeszcze dalszej kuracyi. Oprócz tej przyczyny jednak jest i inna. Mianowicie między ministrami wyłoniły się różnice zapatrywań.

Ministrowie Ponikowski (oświata i wyznania) i Broniewski (przemysł i handel) są z góry przeciwnikami układów z Niemcami, nie wskazują jednak żadnego innego wyjścia.

Prezydent ministrów dr. Steczkowski nie wypowiedział się jeszcze w tej sprawie.

Za najpoważniejszego kandydata na godność prezesa gabinetu uchodzi ks. Janusz Radziwiłł.



Wojsko ukraińskie: Msza polowa przy oddaniu Ukrainie nowo sformowanej dywizyi. (Woj. kw. pr.)

O los jeńców.

Wydział jeńców warszawskiej Komisyi wojskowej zawiadamiama, że wyłącznie za jego pośrednictwem należy czynić, ze względu na ich skuteczność, starania o uwolnienie jeńców wojskowych.

Podania, skierowane bezpośrednio do instytucyi prywatnych, opóźniają rezultat, gdyż odnośne władze przesyłają je do opiniowania Komisyi wojskowej.

O ile jeniec jest rolnikiem, należy wymienić ilość morgów gruntu własnego lub rodziców i zaznaczyć szczególno powody, uzasadniające potrzebę uwolnienia, jak n. p.: 1) grunt leżący ugorem, 2) brak rąk roboczych, 3) nieudolność do pracy fizycznej na roli rodziców jeńca, z powodu ich wieku, 4) niemożność zajęcia się taką pracą żony, obarczonej kilkorgiem dzieci drobnych, których lata należy podać, 5) brak opieki nad gospodarstwem lub dziećmi, z powodu śmierci ich opiekuna.

Pierwszeństwo do uwolnienia mają rolnicy, posiadający przynajmniej 15 morgów gruntu uprawianego. Poswiadczenie dają urzędy gminne.

Sprawy oficerów i żołnierzy z I. i II. korpusu polskiego, oraz sprawy internowanych Legionistów byłego polskiego korpusu posiłkowego załatwia i wszelkich informacyi udziela wydział jeńców Komisyi wojskowej. Podania są wolne od stempla i wszelkich opłat.

Biuro wydziału jeńców układa zainteresowanym podania na miejscu. Podania z prowincyi można przesyłać za pośrednictwem Rad opiekuńczych lub pocztą. Biuro wydziału mieści się w Warszawie, przy ulicy Królewskiej Nr. 35 i jest otwarte dla interesentów w dnie powszednie od 9—12 rano, w niedziele od 10—12 rano.

Przekształcenie się Anglii.

Coraz jaśniej zarysowuje się gruntowne przekształcanie się państwowego gmachu imperyum brytyjskiego w czasie obecnej wojny. Ciężar wojny spoczywa głównie na narodzie angielskim i na koloniach. Aby udźwignąć ten ogromny ciężar, Anglia przebudowuje się szybko wewnętrznie i zewnętrznie, by ciężar ten rozłożyć na barki wszystkich części swego imperyum.

O wewnętrznej przebudowie Anglii wskutek zaprowadzenia nowego prawa wyborczego pisano już niejednokrotnie. Wbrew wszelkim oczekiwaniom wybory do angielskiej Izby gmin zostały przyspieszone. Odbędą się one już w listopadzie tego roku. Jakie wyniki one dadzą — okaże niedaleka przyszłość.

Ale i w stosunku do swych kolonii Anglia przebywa początki gruntownego przekształcenia. Kolonie dźwigają dziś dużą część ciężaru wojennego. Dają żołnierza, krew, pieniądze i żywność. Aby zachęcić kolonie do dalszych ofiar i unicestwić opór, który tu i ówdzie zaczyna się przejawiać, rząd angielski czuje się zmuszonym dać tym koloniom pewne i to znaczne prawa.

Wyrazem tego dążenia do ścisłego spojenia kolonii z krajem macierzystym jest utworzenie państwowego brytyjskiego gabinetu wojennego. Utworzenie tego gabinetu ogłoszono urzędownie dnia 19 z. m. Gabinet ten miał się, wedle początkowego projektu jego twórcy, Lloyda George'a, zbierać rzadko i trwać krótki czas. Według najnowszego projektu, gabinet ten działać będzie poniekąd w permanencyi.

Każde dominium będzie miało prawo wysłania jednego stałego członka swego ministerstwa do tego gabinetu w Londynie. Będzie on stałym członkiem gabinetu państwowego, o ile premier odnośnego dominium nie skorzysta ze swych praw. Ci stale przebywający delegaci rządów dominialnych mogą zażądać w każdej chwili zwołania państwowego gabinetu wojennego. Z reguły zaś będzie się zbierał ten gabinet na narady w stale określonych odstępach czasu.

W ten sposób wzmocniono silnie znaczenie państwowe poszczególnych dominiów w stosunku do Londynu.

Dotychczas rząd każdego dominium musiał się porozumiewać z angielskim premierem gabinetu za pośrednictwem londyńskiego urzędu kolonialnego. Obecnie rząd ten odpada, a premier każdego dominium może wchodzić w stosunek bezpośredni z londyńskim premierem. W ten sposób zrównano poniekąd wszystkich prezydentów ministrów całego imperyum brytyjskiego i spełniono żądania zamorskich prowincyi, aby narody australijskie, nowozelandzkie, kanadyjskie i południowo-afrykańskie zostały równouprawnione z narodami macierzystemi, Anglikami, Szkotami i — Irlandczykami.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego